

Bogusław Abkowicz (1921–2004), syn Rafała i Natalii

Nasz Tato

Dwudziesta rocznica śmierci Bogusława Abkowicza to okazja, by wspomnieć człowieka, który po utracie małej ojczyzny niezłomnie budował swoje życie na nowo. Jego losy to opowieść o miłości, poświęceniu i sile rodzinnych więzi.

W październiku tego roku minęło dwadzieścia lat od dnia, w którym odszedł Bogusław Abkowicz, mój i Ani Tata. Urodzony w Trokach, był jednym z tych młodych mężczyzn, którym rok 1939 przewrócił życie, a rok 1945 odebrał dom rodzinny i miejsca ukochane. Na Dolnym Śląsku we Wrocławiu zaczął odbudowywać swój świat, życie rodzinne i tworzyć przyszłość. Miasto, do którego rzucił go los, stało się jego drugim domem. Życie zawodowe związał z bankowością – podejmując zobowiązania w pracy myślał o rodzinie i o nas, które pojawiłyśmy się jakiś czas później. Był kochany i szanowany zarówno na gruncie prywatnym, jak i zawodowym, a także przez osoby, z którymi stykał się w trakcie swojej późniejszej aktywności społecznej na rzecz kombatanów i członków ich rodzin. Nawet po tylu latach od jego odejścia zdarza mi się spotykać w mieście ludzi, którzy z sentymentem i ciepłymi uczuciami wspominają dyrektora Abkowicza.

Pierwszy syn hazzana Rafała Abkowicza i Natalii z Firkowiczów urodził się w 1921 r. w Trokach. Tam właśnie upłynęły najwcześniejsze lata dzieciństwa Taty. Rodzina mieszkała kolejno w kilku domach – początkowo w tzw. Murowance, czyli

w domu rodzinnym babci przy ulicy Wielkiej Kowieńskiej 53 (obecnie Karaimų 60), gdzie spotkał ich podczas swojego *Spaceru po Trokach* Szymon Firkowicz:

*Вот Наташа с Рафаилом
Появились у ворот,
Богуслав с Эммануилом,
Детки их продолжат род.*

Potem familia przeprowadziła się do rodzinnego domu dziadka przy ulicy Wielkiej Kowieńskiej 1, w międzyczasie mieszkali również w domu ciotki dziadka, Anny Kapłanowskiej, przy Wielkiej Kowieńskiej 19.

Gdy Tata miał siedem lat, rodzina przeniosła się z Trok do Łucka, gdyż dziadek Rafał otrzymał stanowisko hazzana przy tamtejszej gminie karaimskiej. Rodzina już była większa – trzech chłopców (Sławek, Maniuk i Michał) i córeczka Anna, która przyszła na świat jeszcze w Trokach, ale niestety po roku zmarła. W Łucku urodził się jeszcze najmłodszy brat Taty – Gabryś. Zamieszkali nieopodal kienesy w pokojach wynajmowanych od owdowałej Karaimki Rozalii Firkowiczowej. Musiało im

się nie przelewać, bo finanse rodziny hazzana były stałym tematem korespondencji przedstawicieli gminy wyznaniowej z kancelarią hachana w Wilnie.

Rodzina przebywała w Łucku przez dziesięć lat. To tam Tata zawierał przyjaźnie z karaimskimi rówieśnikami, tam zaczął chodzić do szkoły, w której nauczyciele zakazali mówić w domu po karaimsku ze względu na zły akcent dzieci w języku polskim. Niewiele wiemy o tamtym okresie, Tata nie bardzo lubił snucie opowieści – a może to my za mało pytałyśmy.

W 1938 r. rodzina wróciła z Wołynia na Wileńszczyznę – hachan Seraja Szapszał zmienił dziaćkowi przydział posługi kapłańskiej. Zamieszkali w Wilnie, w domu gminnym obok kienesy. Dzielił dom z rodziną szamasza Józefa Poziemskiego. Przeprowadzka wiele zmieniła w ich życiu, w życiu Taty – nowe miasto i nowa szkoła, ale też bliskość ukochanych Trok, domów babci i cioć. No i w końcu bliskość kuzynów, rówieśników i jezior nie tylko wakacyjną porą. W nowej szkole nie przyszło się Tacie uczyć zbyt długo, nastął bowiem wrzesień 1939 roku. 19 września Tata ukończył osiemnaście lat. Nie został powołany do wojska, ale rozpoczęty rok szkolny zakończył się dla niego bardzo szybko. Wychowany w polskim patriotycznym duchu w dniu, gdy polska szkoła stała się szkołą litewską, na lekcji zaintonował w proteście *Rotę* i tym sposobem przerwał edukację relegowany z klasy maturalnej. W lutym 1940 r. przeniósł się do wujostwa Aleksandra i Lizy Pileckich do Leśnik, gdzie zatrudnił się w tartaku. Pracował tam do 1944 r. – więcej o tych latach, o codzienności i realiach życia w różnych okresach okupacji, dowiadujemy się z wydanego w 2009 r. dziennika jego kuzyna Szymona Pileckiego pt. *Chłopiec z Leśnik*.

Zagrożenie sowiecką mobilizacją pojawiło się w 1941 roku, a potem ponownie w roku 1944, kiedy to 16 lipca Szymon Pilecki zanotował:

Tymczasem w Trokach w piątek i sobotę rozpoczął się ruch. Już wszyscy szli do partyzantki. Oczekuje się bowiem, że wkrótce może nastąpić mobilizacja, lepiej być więc razem w kupie niż iść obok jakiegoś Mongoła czy Kałmuka z czerwoną gwiazdą. W końcu końców poszli wczoraj Jerzy ze Sławkiem na razwiedku i mieli przysłać wiadomość względnie przyjść, na razie jednak nic nie słychać, mimo że już się wieczór zbliża.



▲ Hazzan Rafał Abkowicz z ojcem Abrahamem Szemuelem, żoną Natalią i synami Bogustawem (Sławkiem), Emanuelem (Maniusiem) i Michałem (Miszką), Łuck, 1931 r.

◀ Nastoletni Sławek z mamą Natalią, Łuck, lata 30.

Wówczas Tata do partyzantki AK nie trafił, pobłądzili z kuzynem w lasach, zaszli gdzieś za Wilno i zawrócili do domu. Do Polskiej Armii trafił miesiąc później, 27 lipca 1944 roku. Służbę odbywał w 4 Zapasowym Pułku Piechoty w Żytomierzu, a następnie w Białymstoku. Pełnił funkcję pisarza w kompanii wartowniczej. Po zakończeniu działań wojennych i demobilizacji starszych roczników cała kadra 4 Zapasowego Pułku Piechoty została skierowana do Gdańska, gdzie podjęła pracę przy organizacji 16 Dywizji Piechoty po mobilizacji młodych roczników. W ramach tej

organizacji Tata zajmował stanowisko szefa kancelarii 55 Pułku Piechoty stacjonującego w Elblągu. Został zdemobilizowany w pierwszej demobilizacji w październiku 1945 roku. Odznaczono go Medalem Zwycięstwa i Wolności oraz Medalem za udział w walkach o Berlin.

Po demobilizacji jak wielu jego rówieśników zaczął szukać dla siebie nowego miejsca na świecie. Spodobał mu się Gdańsk, gdzie osiedlało się wielu przybywających Wilniuków, w tym i Karaimów, nawet znalazł mieszkanie we Wrzeszczu. Razem z młodszym bratem Michałem, który trafił do wojska jako ochotnik 1 marca 1945 r. i po odbytych szkoleniach służył jako pracownik (prawdopodobnie adiutant) kancelarii Szefa Służby Sanitarnej Wojska Polskiego, planował bowiem sprowadzenie w nowe polskie granice rodziców i młodszych braci.

W oczekiwaniu na przyjazd bliskich wybrał się z wizytą na Śląsk do Otmuchowa do brata babci Józefa Firkowicza, który został tam przeniesiony z Krasinca, by uruchomić cukrownię. Już na miejscu dotarła do Taty informacja, że musi zmienić plany osiedlenia rodziny, bowiem zajęte przez niego mieszkanie zostało przez kolegę przekazane innym Karaimom przybyłym właśnie z Wilna. To był niewątpliwie drugi bodziec, który spowodował, że Tata zaczął swoje nowe życie układać na Śląsku – a właściwie na Dolnym Śląsku – i potem we Wrocławiu. Pierwsze zatrudnienie było oczywiście związane z cukrownictwem, a miejscem pracy była cukrownia w Kondratowicach, gdzie Tata został księgowym.

Szybko też zaczął nadrabiać braki w przerwanej edukacji. We Wrocławiu zdał eksternistycznie maturę i potem również eksternistycznie w dwa lata zrobił studia prawnicze na Uniwersytecie Wrocławskim. We Wrocławiu na stałe zamieszkał w 1949 r. w położonym przy ulicy Kniaziewiczza 28 lokum, w którym już od października 1946 r. przebywali jego rodzice z najmłodszym bratem.

Ostatecznie księgowość Tata zamienił na bankowość. Czy na tę decyzję miał wpływ drugi brat babci Natasy Michał Firkowicz, który pracował początkowo we wrocławskim oddziale NBP, nie wiem. Dziadek Michał z rodziną szybko przenieśli się do Warszawy, do centrali. Tata też dostawał takie propozycje, ale nie zdecydował się na przeprowadzkę. Jego życie zawodowe do 1986 r. było związane z wrocławskimi oddziałami



- ↑ Bogusław Abkowicz (trzeci od prawej) w Tartaku w Leśnikach, 1940 r.
- ← Bogusław (pośrodku) w tuż powojennym Wrocławiu

NBP – ja pamiętam czas, gdy był naczelnikiem w V Oddziale, potem awansował na wicedyrektora w IV Oddziale NBP. Na tym stanowisku zastało go powstanie Solidarności, a zaraz potem rozpoczął się stan wojenny. Niewiele ponad rok przed przekształceniem oddziału NBP w oddział Wielkopolskiego Banku Kredytowego przeszedł na emeryturę.

Życie prywatne nabrało rumieńców, gdy w 1958 r. granica ze Związkiem Radzieckim stała się mniej szczelna i można było udać się z wizytą w rodzinne strony do Trok, do Wilna. Tata wraz z dziadkiem pojechali. Po piętnastu latach znowu zobaczyli bliskich. Jednym z powodów wizyty był ślub bratanka dziadka Józefa Martkowicza z Donią Nowicką. Oko Taty zatrzymało się wówczas na młodszej o dziesięć lat nauczycielce Zosi Juchniewiczównie... Jednak na przychyłność płochej panny przyszło mu jeszcze cztery lata poczekać. Czy wymagało to jednej czy dwóch wizyt Taty w Trokach, tego nie wiem, ale w 1962 r. był tam na pewno, a tuż przed powrotem do Wrocławia oświadczył się Mamie, został przyjęty i szybko zarejestrowali swój związek w ZAGsie (urzędzie stanu cywilnego), przekładając prawdziwy ślub – karański, religijny – i wesele na następny rok. W ten sposób Tata po powrocie do Wrocławia mógł wysłać młodej żonie zaproszenie na stały pobyt, a Mama po jego otrzymaniu rozpoczęła procedury uzyskania zezwolenia na wyjazd na stałe. Czynności zgodnie z przewidywaniami trwały do wiosny, a Mamie z trudem udało się przedłużyć zgodę na pracę i pobyt w Litewskiej SSR do końca roku szkolnego – dla urzędników jej decyzja stanowiła prawdziwą zdradę i intencja doprowadzenia klasy wychowawczej do końca roku nie była przez nich brana pod uwagę.

Latem 1963 r. w Trokach odbyło się wesele, pewnie całkiem huczne – przynajmniej na tyle, na ile warunki pozwalały – ale religijna ceremonia ślubna była na pewno bardzo cicha, żeby nie powiedzieć: przeprowadzona w ukryciu. Uczestniczyli w niej jedynie młodzi i świadkowie, rodzicom ani koleżankom Mama nie pozwoliła przyjść w obawie o reakcję „wszystko obserwujących” na obrzędy religijne i konsekwencje, które mogły dotknąć pozostające na Litwie nauczycielki. Potem jeszcze odbyli obciążoną pewnym ryzykiem podróż posłubną na Kaukaz. W tamtym czasie przemieszczać się po Związku Sowieckim bez zezwoleń nie było można, Mama była obywatelką sowiecką, a Tata polskim obywatelem bez odpowiedniego pozwolenia – i gdzieś w którychś z odwiedzonych przez nich miejsc pojawiły się podejrzenia o szpiegostwo... Szybko wówczas powrócili do Trok, a potem już razem, po przyjęciu przez Mamę szczepień na ospę, wyjechali do zmagającego się z epidemią tej choroby Wrocławia.



Początkowo zamieszkali na Kniaziewicza wraz z rodzicami Taty, tam po roku urodziłam się ja. Co prawda nastąpiło to dla Taty nieco zbyt nagle, bo po odstawieniu rodzącej żony do szpitala wrócił do domu na dziennik i tu z codziennej rutyny wyrwał go telefon, że pierworodna nie zwlekała i się pojawiła. A zaraz potem na prawie cztery lata przejęła rząd dusz w domu. Wszystko bowiem, co można było kupić w Peweksie, było kupowane. Po mniej więcej trzech latach Mama stwierdziła, że teściowa i synowa, czyli dwie gospodynie, w jednej kuchni to jednak za dużo i Tata dostał zadanie zdobycia oddzielnego mieszkania. Oczywiście, jak Mama sobie zażywała, tak się stało. Po perypetiach związanych z wyborem właściwego lokum latem 1968 r. przeprowadziliśmy się do nowej kwatery na Drukarskiej 43. Tam też urodziła się kolejna miłość Taty, moja siostra Ania.

W mieszkaniu dziadków na Kniaziewicza nadal bywaliśmy z Tatą często – nie tylko z rodzinnymi wizytami, ale przede wszystkim dlatego, że to tam biło serce karańskiego świata religijnego. W wydzielonej części mieszkania była oficjalna siedziba hazzana oraz kaplica, kienesy, w której zgodnie z rytmem karańskiego roku religijnego toczyło się życie liturgiczne. W karańskie święta i w miarę możliwości w soboty (gdy już nie były pracujące) stawałyśmy w rzędzie za Tatą podczas nabożeństwa, a potem szybkoitko pomagałyśmy Babci w nakrywaniu do stołu, do którego zawsze po nabożeństwie siadaliśmy.

Życie rodziny było bardzo spokojne i stabilne, rodzice potrafili stworzyć dom, w którym miłość i szacunek do siebie nawzajem oraz akceptacja

Abkowiczowie zamieszkali we Wrocławiu przy ul. Kniaziewicza. Często przyjmowali gości, którzy z Łucka przenieśli się do Opola

naszych wyborów były stałymi elementami codzienności. Jedynie wybryki podrastających córek potrafiły czasem i na bardzo krótko wytrącić ich z równowagi. Doskonale się rozumieli i uzupełniali. Sprawy domowe były przede wszystkim na głowie Mamy, ale Tata ją wspierał. Któregoś lata, kiedy jechali do Trok ze sporym zapasem tetrowych pieluszek, dziadek Rafał instruował syna: „Jak będziesz chciał pomóc Zosi z płukaniem prania, to pamiętaj, żeby łódką wypływać daleko za wyspy, żeby cię z brzegu kobiety nie widziały i ciotki nie plotkowały”. W okresach, gdy Mama prowadziła zaoczne zajęcia oraz kursy weekendowe, kuchnia stawała się domeną Taty i nie widział w tym żadnego problemu. Miał w swoim repertuarze szereg dań, które tylko on potrafił przyrządzić. Oczywiście, do jego obowiązków należały przede wszystkim sprawy zewnętrzne i organizacyjne – szczególnie w czasach, gdy kupienie czegośkolwiek wymagało różnorodnych strategii. My nie mogliśmy narzekać – wszystko, czegośmy potrzebowały, było. Zresztą Tata opieką otaczał nie tylko nas, ale również rodziców, braci, a gdy w 1983 r. zabrakło jednego z nich, Michała, to również jego rodzinę otrzymała pełne wsparcie w codziennych problemach. W 1977 r. Mama zaczęła podupadać na zdrowiu, struny głosowe zaczęły odmawiać posłuszeństwa i Mama potrzebowała ciszy, co w naszym mieszkaniu nie było możliwe. Tata szybko znalazł rozwiązanie i w przeprowadziliśmy się do większego lokum ze zdecydowanie lepszym rozkładem pomieszczeń i szansą na spokój i prywatność.

Do Trok jeździliśmy co roku na wakacje – my z Mamą na całe trzy miesiące, Tata dojeżdżał do nas na trzy–cztery tygodnie. Czekano na niego zawsze zakupione na zimę drewno, nikt nie miał prawa go rąbać – to było jego letnie zadanie. Dopiero przy znoszeniu narąbanych drew do składziku można mu było pomagać. Tata przywoził też do Trok nowoczesną męską modę – długo ciotki się bulwersowały, wspominając Sławka i jego krótkie spodenki. Herbatę zwykle parzono w imbryku dla całej rodziny i na cały dzień, tylko on miał zaparzaną oddzielnie. Tata znalazł wspólny język z rodzeństwem Mamy – zarówno z braćmi, jak i z siostrą Anią i jej mężem Romkiem. Zresztą wujek Szymek z ciotką Lusią i ciotką Anią z wujkiem Romkiem często gościli w naszym wrocławskim mieszkaniu. Gdy w 2000 r. przyszło do nas zaproszenie na zjazd młodzieży, to Tata bez zastanowienia powiedział – JEDZIEMY!



Obchody 600-lecia sprowadzenia Karaimów i Tatarów do Wielkiego Księstwa Litewskiego, Troki, 1999 r.
Fot. Robert Granaszewski

Po przejściu na emeryturę Tata był jeszcze w pełni sił i zaangażował się w prace społeczne na rzecz emerytów-bankowców oraz naszej Spółdzielni Mieszkaniowej, był Radnym Osiedlowym, ale głównym i najdłużej realizowanym zajęciem była działalność na rzecz kombatantów i ich rodzin w ZBOWIDzie. Chociaż Taty osobista aktywność wojskowa nie była imponująca, to posiadał uprawnienia kombatanckie i bardzo się angażował jako przewodniczący koła w pracę na rzecz potrzebujących wsparcia. Z czasem jednak choroba Parkinsona zaczęła dawać coraz silniejsze objawy. Dopóki mógł, walczył o samodzielność i spełniał swoje obowiązki, nie chcąc ich nikomu oddawać, kolejne problemy zdrowotne stopniowo zaczęły jednak ograniczać jego możliwości i mobilność.

Był niezwykle spokojnym i wytrzymałym człowiekiem, który zawsze potrafił kontrolować sprawy swoje i rodziny. Tej ostatniej nocy źle się poczuł, ale nie chciał niepokoić Mamy, na której w tym czasie już spoczywała cała codzienna troska, rano też nic nie powiedział i w porze obiadu upadł... i już nie dojechał do szpitala.

Tato, tęsknimy. ■

Mariola Abkowicz
Fot. z archiwum ZKP